

Poznałam Marka, gdy miałam 20 lat. Ja- wulkan niespożytej energii, od dziecka chciałam być aktorką. Byłam na pierwszym roku szkoły teatralnej, gdzie codziennie pracowałam nad swoimi emocjami i nad tym by jak najlepiej oddać ból, smutek czy radość. Wieczna nastolatka z milionem pomysłów na minutę, w kolorowych ciuchach i zawsze z uśmiechem od ucha do ucha. Marek- dużo starszy ode mnie lekarz. Straszny sceptyk, realista a na dodatek rozwodnik z bagażem nieciekawych doświadczeń. Mimo to nasze pierwsze spotkanie było jak uderzenie pioruna- miłość od pierwszego wejrzenia. Nasi rodzice, znajomi widząc nasze różnice charakteru zakładali się, że nie wytrzymamy ze sobą miesiąca. A jednak prawie natychmiast zamieszkaliśmy razem a trzy miesiące po poznaniu, dokładnie 12 grudnia pobraliśmy się. Wtedy słyszałam tylko, że to takie dziecinne, że brakuje nam odpowiedzialności, że jesteśmy egoistami. I chyba było w tym dużo prawdy. Najważniejsze było dla nas nasze szczęście. I do tej pory dziękuję Bogu za to, że byliśmy wtedy takimi egoistami.

Nie było idealnie. Wspólne życie pokazało nam jak bardzo nasze charaktery są inne. Marek okazał się być cholerykiem i strasznym zazdrośnikiem. Niekiedy na ul. Prusa pod numer 10 latały talerze a nasze krzyki słychać było na całym osiedlu. Jednak szybko nauczyliśmy się jak sobie radzić ze złością. Studiowałam, on pracował długimi godzinami, ale znajdowaliśmy czas dla siebie i wciąż kochaliśmy się tak samo, a może nawet dwa razy mocniej. Weekendy spędzaliśmy zawsze aktywnie i zawsze razem. Mój plan na życie był taki: długie i szczęśliwe życie z Markiem. Prawie nam się udało.

To miało być zwykłe rutynowe badanie. Czekałam na niego w poczekalni, później mieliśmy wybrać się na miasto, by zjeść razem obiad. Gdy wyszedł od lekarza wiedziałam, że coś jest nie tak. Podszedł do mnie i wybuchnął płaczem. Lekarz oznajmił mi, że to rak. Diagnoza była przerażająca, ale wtedy nie przyjmowałam do wiadomości tego, że Marek może umrzeć. Byłam pewna, że damy sobie radę i że ta choroba dodatkowo wzmocni mojego silnego już mężczyznę. Na początku wszystko było tak jak sobie wyobrażałam. Życie toczyło się bez zmian. A potem nadeszła ta nieszczęsna operacja. Miała być przełomem, ale okazało się, że pozostałością po niej było coraz większe cierpienie Marka, jego narastający ból. Gdy lekarz powiedział mi, że jego choroby nie da się zwalczyć i jego stan wciąż się pogarsza przez godzinę szlochałam sama w pokoju. Wciąż starałam się mieć nadzieje i dawać ją również jemu. Mimo tego, że byłam aktorką, odgrywałam na scenie ból, cierpienie, starte, nie przygotowało mnie to na to, co stało się w moim życiu. Mój mąż gasł a ja nie mogłam nic na to poradzić.

Stało się. Kilka miesięcy później Marek odszedł ode mnie patrząc mi głęboko w oczy. Przez wiele dni byłam jak odrętwiała. Spałam, leżałam, od czasu do czasu zmuszałam się by coś zjeść. Czułam się jakbym wraz z jego odejściem straciła to, co najważniejsze. Wszystko straciło sens a w mojej głowie kłębiło się tylko: "Jak dam sobie radę bez niego? Nie chcę być samotna, nie chcę tak żyć. Kim będę bez niego?". Trwałam tak przez około 3 miesiące. I nadszedł taki moment, kiedy pogodziłam się z tym, że Marek już nie wróci. Wszystko jakby powoli zaczęło się układać. Wstawałam rano, ćwiczyłam jogę i biegłam do pracy. Więcej czytałam i odkryłam, że miłość to najbardziej twórcza emocja na ziemi, że jest wieczna. Zrozumiałam, że nie odeszła ona wraz z Markiem i że jest w moim sercu. Tak samo jak zawsze będzie w nim Marek. Wtedy przestałam się bać. Poczułam się bezpiecznie, chociaż wcześniej myślałam, że bez ukochanego jest to niemożliwe. Odkryłam w sobie olbrzymią siłę i jednocześnie pogodziłam się ze swoimi słabościami. Moje życie toczyło się dalej, a ja wiedziałam, że miłości nie można zabić i że nie ma nic cenniejszego ponad jej doświadczenie.